ALBATROS

OBERŻA NA PUSTKOWIU

Daphne du Maurier

Autorka słynnej *Rebeki* i *Ptaków*
Muza Alfreda Hitchcocka

Tytuł oryginału:
JAMAICA INN

Copyright © Daphne du Maurier 1936
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Krzysztof M. Komarnicki 2022

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Ilustracje na okładce: Sketchepedia/Freepik (*gałęzie*);
macrovector/Freepik (*trawa i płot*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

ALBATROS

1

Był posępny, szary dzień, jeden z ostatnich dni listopada. Zmiana pogody przyszła nagle, gdy nieżyczliwy, ostry wiatr zasnuł niebo ołowianymi chmurami, z których mżył nieustannie drobny deszcz, a choć była dopiero druga po południu, bladość zmierzchu jesiennego spadła już na wzgórza, spowijając je mgłą. Lepki ziąb mimo szczelnie zamkniętych okien przenikał do wnętrza dyliżansu i nasycał wilgocią skórzane obicia siedzeń. Musiała też być niewielka szpara w dachu, bo cienkie strumyczki deszczu raz po raz spływały z góry, zostawiając w tym miejscu na skórze granatowe smugi i plamy jak po rozlanym atramencie.

Woźnica, po uszy okutany płaszczem, zginał się na koźle wpół, daremnie usiłując stworzyć sobie osłonę z własnych ramion, a smutne konie z trudem posuwały się naprzód, zbyt silnie nękane wichurą i deszczem, aby reagować na uderzenia bata, który co chwila trzaskał nad ich łbami.

Koła dyliżansu z jękiem i skrzypieniem zapadały się i podskakiwały na wybojach, czasem zaś spryskiwały szyby płynnym błotem, co w połączeniu z nieprzerwanie siąpiącym deszczem uniemożliwiało choćby rzut oka na krajobraz.

Nieliczni pasażerowie dla rozgrzewki tulili się do siebie i wydawali chóralne okrzyki, ilekroć dyliżans wpadał do dołu głębszego niż zwykle, staruszek zaś, który narzekał bez przerwy, odkąd wsiadł w Truro do dyliżansu, w pewnej chwili zerwał się rozwścieczony, otworzył z wysiłkiem okno i nie zważając na strugi deszczu zalewające nie tylko jego, lecz także towarzyszy podróży, wysunął głowę na zewnątrz. Piskliwym, złym głosikiem wymyślał woźnicy od łotrów, zbójów, morderców i krzyczał, że jeśli woźnica nadal będzie pędził na złamanie karku, wszyscy pasażerowie wyzioną ducha, zanim dojadą do Bodmin, bo i tak już ledwie zipią, a jeśli o niego osobiście chodzi, nigdy już nie wsiądzie do dyliżansu.

Trudno by ustalić, czy woźnica go w ogóle słyszał. Prawdopodobniejsze było, że potoki złorzeczeń porwał i uniósł wiatr. Staruszek po chwili czekania, wyziębiwszy dokładnie wnętrze dyliżansu, usiadł znów na swoim miejscu w kącie, okrył kolana pledem i coś do siebie gniewnie mamrotał.

Najbliższa jego sąsiadka, wesoła, rumiana kobieta w niebieskiej pelerynie, westchnęła ze współczuciem, po czym mrugając do pozostałych pasażerów i nieznacznym ruchem głowy wskazując staruszka, oświadczyła po raz co najmniej dwudziesty, że jak żyje, nie pamięta takiej niepogody, wichura co się zowie, tu już nikt się nie pomyli i nie powie, że jest lato. Następnie pogrzebała w pokaźnym koszyku, wyciągnęła wielki kawał ciasta i zatopiła w nim mocne białe zęby.

Mary Yellan siedziała w przeciwległym kącie, tam gdzie strumyczek deszczu sączył się przez szparę w dachu. Niekiedy zimna kropla spadała jej na ramię, wówczas dziewczyna strzepywała ją niecierpliwie.

Z podbródkiem wtulonym w dłonie nie odrywała oczu od okna zachlapanego błotem i deszczem, w nikłej, lecz wciąż jeszcze

żywej nadziei, że jakiś promień słońca przebije się w końcu przez chmury i choć skrawek błękitu, co wczoraj jeszcze olśniewał nad Helfordem, zabłyśnie na znak pomyślnej przyszłości.

Znajdowała się zaledwie czterdzieści mil od miejsca będącego przez dwadzieścia trzy lata jej domem, lecz owa nadzieja w sercu zaczęła już przygasać, a nieustępliwa odwaga, która stanowiła dominującą cechę charakteru dziewczyny i ratowała ją podczas choroby i śmierci matki, dała się teraz zachwiać pierwszym podmuchom wichury.

Okolica była zupełnie obca, a to już samo przez się budziło przerażenie. Przez zamglone okno dyliżansu Mary, wytężając wzrok, spoglądała na świat całkiem odmienny od tamtego, który znała, a od którego dzielił ją tylko dzień podróży. Jakże dalekie teraz i być może utracone na zawsze wydawały się lśniące wody Helfordu, zielone wzgórza, łagodne stoki dolin, gromadki białych domków nad brzegiem rzeki! Helfordzki deszcz był dobrotliwy, szeleścił w listowiu drzew, niknął w bujnej trawie, tworzył potoki i rzeczułki spływające do szerokiej rzeki, wsiąkał we wdzięczną glebę, która odpłacała się barwnymi kwiatami.

Ten deszcz był zajadły, bezlitosny, siekł okna dyliżansu i smagał twardą, jałową ziemię. Nie rosły tu żadne drzewa, jeśli nie liczyć jednego lub dwóch, rozpościerających nagie konary, powyginane i poskręcane przez stulecia wichrów, a tak sczerniałych ze starości i słoty, że gdyby nawet wiosna owiała je swym tchnieniem, pączki nie odważyłyby się chyba rozwinąć w liście, lękając się spóźnionych, zabójczych przymrozków. Uboga okolica, bez żywopłotów i łąk, kraina kamieni, czarnego wrzosu i karłowatego żarnowca.

Tutaj pewnie nigdy nie bywa naprawdę pogodnie, myślała Mary; albo szaruga jak dzisiaj, albo sucha spiekota pełni lata, a nigdzie zielonej, cienistej kotliny, dającej schronienie, sama tylko trawa, co

żółknie i brunatnieje jeszcze przed końcem maja. W tym szarym, obcym krajobrazie nawet ludzie na drogach i w miasteczkach wyglądają inaczej, upodabniają się widać do otoczenia. W Helston, tam gdzie wsiadła do pierwszego dyliżansu, Mary czuła się jeszcze na dobrze znanym gruncie. Tyle dziecięcych wspomnień łączyło ją z tym miasteczkiem. Cotygodniowe wyprawy na targ z ojcem, a potem, kiedy ojca zabrakło, z matką, która mężnie zajęła jego miejsce i tak jak on jeździła niezmordowanie tam i z powrotem, w zimie i w lecie. Woziła okryte starannie słomą kury, jajka, masło, Mary zaś siedziała obok, mocno ściskając większy od siebie koszyk i opierając mały podbródek o pałąk. Ludzie w Helston byli im życzliwi, nazwisko Yellan znano tu i szanowano, gdyż po śmierci męża wdowa musiała toczyć ciężką walkę o byt i niewiele było kobiet, które mając jedno tylko dziecko i całe gospodarstwo do prowadzenia, wybrałyby samotność i nie myślały wcale o powtórnym zamążpójściu. Pewien farmer z Manaccan poprosiłby ją o rękę, gdyby tylko śmiał, drugi ewentualny kandydat mieszkał w Gweek, ale czytali z jej oczu, że nie zechce żadnego z nich, bo duszą i ciałem należy wciąż do tego, który odszedł. Harówka na farmie zmogła jednak w końcu matkę. Kobieta nie oszczędzała się nigdy i przez siedemnaście lat wdowieństwa zmuszała się ustawicznie do nadludzkich wysiłków, nie zdołała więc przetrzymać ostatniej próby i straciła serce do dalszej walki.

Inwentarz farmy wciąż się kurczył, a że nastąpiły ciężkie czasy – jak mówiono matce w Helston – i ceny gwałtownie spadły, nie sposób było nigdzie zdobyć gotówki. Wszędzie wokół panowała ta sama rozpaczliwa sytuacja. Farmerom głód zaglądał już w oczy. Na domiar złego jakaś zaraza spadła na okolicę i zabijała żywy inwentarz w wioskach dookoła Helfordu. Zaraza nie miała nazwy i nie było na nią lekarstwa. Atakowała i niszczyła wszystko, co żywe,

niczym późny mróz, co wiosną przychodzi nagle wraz z księżycem w nowiu, a potem znika, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu prócz martwych stworzeń. Trudny to był, niespokojny, okres dla Mary i jej matki. Patrzyły, jak wyhodowane przez nie kurczęta i kaczęta jedno po drugim marnieją i giną. Widziały, jak młody byczek padł na łące, tam gdzie się pasł. Najboleśniejsza była śmierć starej klaczy, która służyła im przez dwadzieścia lat i na której szerokim grzbiecie Mary jako małe dziecko uczyła się jeździć konno. Klacz pewnego ranka w stajni wydała ostatnie tchnienie, opierając łeb na kolanach Mary, a kiedy wykopano dół w sadzie pod jabłonią, kiedy ją pochowano i nigdy już nie miała zawieźć ich w dzień targowy do Helston, matka zwróciła się do Mary:

– Jakaś część mojej duszy poszła do grobu razem z biedną Nell, Mary. Może to moja wiara w Boga, nie wiem, ale czuję, że serce mam zmęczone i nie mogę już dłużej żyć.

Weszła do domu i usiadła w kuchni, blada jak płótno, postarzała nagle o dziesięć lat. Wzruszyła obojętnie ramionami, kiedy Mary powiedziała, że zawoła lekarza.

– Za późno, dziecko – rzekła. – O siedemnaście lat za późno. – Zaczęła płakać cicho, ona, która nigdy dotychczas nie płakała.

Mary pobiegła po starego doktora, który mieszkał w Mawgan i niegdyś był obecny przy jej narodzinach. Doktor, jadąc z nią swoją dwukółką na farmę, potrząsał smutno głową.

– Powiem ci, Mary, co to jest – rzekł. – Twoja matka od chwili śmierci ojca nie oszczędzała się wcale, a do tego wciąż miała zgryzoty, no i załamała się w końcu. Nie podoba mi się to. W złym czasie to się stało.

Zajechali krętą drogą polną pod dom. Przy furtce czekała sąsiadka, pilno jej było obwieścić niedobre nowiny.

– Twojej matce jest gorzej! – krzyknęła. – Stanęła przed chwilą

w drzwiach, blada była jak upiór. Nagle dreszcz nią wstrząsnął i upadła na ścieżkę. Pani Hoblyn i Will Searle podbiegli do niej. Zanieśli biedaczkę do domu. Mówią, że nie otwiera oczu.

Doktor stanowczym ruchem odsunął sprzed drzwi gromadkę gapiów. Razem z Willem Searle'em podnieśli z podłogi bezwładne ciało i zanieśli na górę do sypialni.

– Udar – orzekł doktor. – Ale oddycha, puls jest równomierny. Tego się też obawiałem: że załamie się właśnie tak, nagle. Dlaczego to się stało akurat teraz, po tylu latach, Bogu jednemu wiadomo i jej samej. Ty, Mary, musisz teraz udowodnić, że jesteś córką swoich rodziców, i dołożyć starań, aby matka odzyskała zdrowie. Tylko tobie może się to udać.

Ponad pół roku Mary pielęgnowała matkę w tej pierwszej i ostatniej chorobie, lecz mimo całej troski i opieki, jaką otaczali chorą i córka, i doktor, wdowa nie powracała do zdrowia. Zabrakło jej woli życia.

Zdawało się, że pragnie tylko wyzwolenia i modli się w duchu, aby przyszło jak najprędzej. Powiedziała do Mary:

– Nie chcę, żebyś się borykała tak jak ja. Takie zmagania niszczą ciało i ducha. Nie ma powodu, żebyś została tutaj, kiedy odejdę. Najlepiej będzie, jeżeli pojedziesz do Bodmin, do ciotki Patience.

Mary usiłowała przekonać matkę, że śmierć wcale jej nie grozi, ale perswazje na nic się zdały. Pani Yellan spodziewała się śmierci i tego jej przeświadczenia nie sposób było zwalczyć.

– Nie chcę opuszczać farmy, mamo – powiedziała w końcu Mary. – Tu się urodziłam, tutaj urodził się ojciec, a ty też pochodzisz przecież z tej okolicy. Tu jest miejsce Yellanów. Nie boję się ubóstwa ani trudności. Pracowałaś tu sama jedna przez siedemnaście lat, czemu ja bym nie miała tak samo pracować? Jestem silna, podołam każdej męskiej robocie, wiesz o tym.

– To nie jest życie dla młodej dziewczyny – odparła matka. – Harowałam przez wszystkie lata, by uczcić pamięć ojca i przez wzgląd na ciebie. Praca dla kogoś daje kobiecie spokój i zadowolenie, ale kiedy się pracuje tylko dla siebie, to zupełnie inna rzecz. Nie wkłada się serca w pracę.

– Cóż bym robiła w mieście? – zaprotestowała znów Mary. – Nie znam innego życia niż to nasze nad rzeką i nie chcę znać. Dość mi miasta, kiedy jeżdżę stąd do Helston, więcej nie potrzeba. Najlepiej mi tutaj z tymi kurkami, co nam jeszcze zostały, z warzywami w ogrodzie, ze starą maciorą, z łódką na rzece. Co będę robiła w Bodmin u ciotki Patience?

– Mary, dziewczyna nie może mieszkać sama, bo albo zwariuje, albo zejdzie na złą drogę. Innego wyjścia nie ma. Nie pamiętasz już biednej Sue, jak o północy przy pełni księżyca chodziła po cmentarzu i wołała kochanka, którego nigdy nie miała? A jeszcze przed twoim urodzeniem była tu panienka, która została sierotą, mając szesnaście lat. Uciekła do Falmouth i zadała się z marynarzami. Otóż nie zaznamy spokoju w grobie ani ja, ani twój ojciec, jeżeli pozostaniesz bez opieki. Spodoba ci się ciotka Patience, zawsze była pierwsza do zabaw i śmiechów, a serce ma wielkie jak stodoła i miękkie jak masło. Pamiętasz, jak była tutaj dwanaście lat temu? Miała wstążki przy kapeluszu i jedwabną halkę. Jeden człowiek, który pracował w Trelowarren, miał na nią oko, ale ona uważała, że warta jest lepszego losu.

Tak, Mary pamiętała ciotkę Patience z jej fryzowaną grzywką i wielkimi niebieskimi oczami, pamiętała, jak ciotka śmiała się i trajlowała, jak unosiła do góry spódnice i ostrożnie, na paluszkach, przechodziła przez błoto na podwórku. Śliczna była jak wróżka z bajki.

– Jakim człowiekiem jest twój wuj, a jej mąż, tego nie umiem

powiedzieć – mówiła dalej matka – bo nigdy go nie widziałam ani nie spotkałam nikogo, kto by go znał. Ale kiedy ciotka wyszła za niego – na świętego Michała minęło dziesięć lat – napisała do mnie list pełen takich zachwytów, aż można było pomyśleć, że to pisze młodziutka dziewczyna, nie przeszło trzydziestoletnia kobieta.

– Będą mnie uważali za nieokrzesaną dzikuskę – powiedziała Mary z namysłem. – Nie mam pięknych manier, których się wymaga od dziewcząt. Nic sobie nie będziemy mieli do powiedzenia.

– Pokochają cię taką, jaka jesteś, minki i sztuczki nie mają znaczenia. Dziecko, masz mi przyrzec, że kiedy odejdę, napiszesz do ciotki Patience. Powtórzysz jej, że moim ostatnim i najgorętszym życzeniem było, żebyś się do niej przeniosła.

– Przyrzekam – powiedziała Mary, ale ciężko jej było na sercu i smutno na myśl o przyszłości tak niepewnej i niezbadanej, gdy utraci wszystko, co zna i kocha, a w trudnych chwilach nie będzie miała nawet tej pociechy, jaką daje widok domu rodzinnego.

Matka z każdym dniem była coraz słabsza, z każdym dniem uchodziło z niej życie. Przetrwała jeszcze żniwa, zbiór owoców i pierwsze opadanie liści. Gdy jednak nadeszły poranne mgły, gdy szron okrył ziemię, wezbrana rzeka popędziła na spotkanie rozszalałego morza, a fale z rykiem rozbijały się na małych plażach helfordzkich, wdowa zaczęła miotać się niespokojnie na łóżku. Nazywała córkę imieniem zmarłego męża, mówiła o sprawach dawno minionych i o ludziach, których Mary nigdy nie znała. Przez trzy dni żyła we własnym, zamkniętym świecie, a na czwarty umarła.

Mary patrzyła, jak wszystko, co kochała i znała, przechodzi stopniowo do obcych rąk. Żywy inwentarz popędzono na targ do Helston. Farmę kupił jakiś człowiek z Coverack, któremu spodobał się dom. Nowy właściciel z fajką w zębach chodził po podwórzu,

pokazywał, jakie wprowadzi tu zmiany i które drzewa wytnie, żeby mieć ładniejszy widok, a Mary z niemą nienawiścią obserwowała go ze swego okna, pakując skromny dobytek do kufra po ojcu.

Przybysz z Coverack sprawił, że poczuła się intruzem we własnym domu; najwyraźniej chciał, żeby wyniosła się stąd czym prędzej, myślała więc tylko o tym, aby najrychlej ze wszystkim skończyć i nigdy już tu nie wracać. Jeszcze raz przeczytała list od ciotki, skreślony niepewną ręką na zwykłym papierze. Ciotka pisała, że wstrząśnięta jest nieszczęściem, które spotkało siostrzenicę; nic nie wiedziała o chorobie siostry, przecież to już tyle lat, odkąd była ostatni raz w Helfordzie. Po czym następował ciąg dalszy: *U nas też zaszły duże zmiany. Nie mieszkam już w Bodmin, ale dwanaście mil za miastem, na drodze do Launceston. Okolica bezludna, pustkowie, gdybyś więc do nas przyjechała, rada byłabym z Twego towarzystwa, zwłaszcza w zimie. Pytałam wuja, nie ma nic przeciwko temu, jak powiada, jeżeli tylko jesteś cicha, niegadatliwa i będziesz nam pomagać, kiedy zajdzie potrzeba. Nie może Ci nic płacić ani żywić Cię za darmo, jak sama pewnie rozumiesz. W zamian za mieszkanie i utrzymanie będziesz musiała pomagać w barze. Bo widzisz, wuj jest właścicielem oberży Jamajka.*

Mary złożyła list i schowała go do kufra. Dziwne to było zaproszenie od zawsze uśmiechniętej ciotki Patience, którą pamiętała.

Oziębły, oschły list, bez słowa pociechy, niewyjaśniający nic prócz tego, że siostrzenica nie może żądać pieniędzy. Ciotka Patience, z jej jedwabnymi halkami i delikatnym obejściem, żoną karczmarza! Mary doszła do wniosku, że kryje się tu coś, o czym matka z pewnością nie wiedziała. List nazbyt się różnił od tamtego sprzed dziesięciu lat, napisanego przez szczęśliwą młodą mężatkę.

Jednakże Mary dała matce słowo i nie może go złamać. Dom

już sprzedany, nie ma tu dla niej miejsca. Bez względu na to, z jakim spotka się przyjęciem, ciotka jest rodzoną siostrą matki, tylko o tym należy pamiętać. Skończyło się dawne życie – umiłowana farma i lśniące wody Helfordu. Przed nią leży przyszłość – i oberża Jamajka.

Tak się więc stało, że Mary Yellan znalazła się w skrzypliwym, rozchybotanym dyliżansie, jadącym z Helston na północ przez Truro z jego gromadą dachów i wieżyc, z szerokimi brukowanymi ulicami, z błękitnym, jeszcze południowym niebem, z ludźmi, co stojąc w drzwiach, uśmiechali się i przesyłali rękami pozdrowienia, gdy mijał ich z łoskotem dyliżans. Ale kiedy Truro pozostało w dolinie, niebo powlokło się chmurami, a po obu stronach traktu rozpostarł się teren jałowy i pusty. Wioski trafiały się teraz rzadko, w drzwiach domków nie widać było uśmiechniętych twarzy. Drzew również było coraz mniej, żywopłoty znikły bez śladu. Wreszcie dyliżans z turkotem zajechał do Bodmin, miasteczka szarego i nieprzystępnego jak otaczające je wzgórza. Pasażerowie jeden po drugim zaczęli zbierać bagaże – wszyscy prócz Mary, która nadal siedziała w swoim kącie. Woźnica z twarzą ociekającą deszczem zajrzał przez okno.

– Jedzie pani do Launceston? – spytał. – Niedobra będzie dzisiaj jazda przez torfowiska. Mogłaby pani przenocować w Bodmin i pojechać jutrzejszym porannym dyliżansem. Nikt tu już dalej nie jedzie prócz pani.

– Muszę być dzisiaj, bo czekają na mnie – powiedziała Mary. – Nie boję się jazdy. Zresztą nie jadę aż do Launceston. Czy zechce mnie pan wysadzić przy oberży Jamajka?

Woźnica spojrzał na nią zaskoczony.

– Przy oberży Jamajka? – powtórzył. – A cóż pani ma tam do roboty? Jamajka nie jest odpowiednim miejscem dla młodej panienki. To chyba jakaś pomyłka.

Wpatrywał się w nią z wyraźnym niedowierzaniem.

– O, słyszałam, że to pustkowie – odparła Mary – ale nie jestem przyzwyczajona do życia w mieście. Nad rzeką Helford, tam skąd pochodzę, bardzo jest cicho, latem czy zimą, nigdy jednak nie dokuczała mi samotność.

– Nie mówiłem wcale o samotności. Może pani nie rozumie, bo jest pani tu obca. Nie chodzi mi o te dwadzieścia parę mil przez torfowiska, chociaż większość kobiet bałaby się tamtędy jechać. Niech pani chwilę zaczeka.

Zwrócił się do kobiety, która stojąc w drzwiach gospody Królewskiej, zapalała lampę nad wejściem, zapadał już bowiem zmierzch.

– Proszę pani! – zawołał. – Niech pani tu przyjdzie i przemówi do rozumu tej panience! Powiedziano mi, że jedzie do Launceston, ale ona mówi, że chce wysiąść przy Jamajce.

Kobieta zeszła po stopniach i zajrzała do wnętrza dyliżansu.

– To dzika okolica, prawdziwe pustkowie – powiedziała – i jeżeli szuka pani pracy, to nie znajdzie jej pani u tamtejszych farmerów. Ci na trzęsawiskach nie lubią obcych. Lepiej się pani urządzi tutaj, w Bodmin.

Mary uśmiechnęła się do niej.

– O to się nie martwię. Jadę do krewnych. Mój wuj jest właścicielem oberży Jamajka.

Nastąpiła długa cisza. W zamglonym świetle latarni Mary dostrzegła, że zarówno kobieta, jak i mężczyzna patrzą na nią szeroko otwartymi oczami. Przeszył ją nagle ziąb, wstrząsnął nią niepokój. Chciałaby usłyszeć od kobiety jakieś słowo otuchy czy

zachęty, ale takie słowo nie padło. Kobieta cofnęła się od okna.

– Przepraszam – powiedziała wolno. – Oczywiście, to nie moja sprawa. Dobranoc.

Woźnica, z twarzą dość mocno zaczerwienioną, pogwizdywał jak ktoś, kto chce wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Mary pod wpływem impulsu pochyliła się do przodu i dotknęła jego ramienia.

– Niech pan mi powie – poprosiła. – Nie będę miała nic za złe. Czy mój wuj nie jest tu lubiany? Czy coś się za tym wszystkim kryje?

Mężczyzna bardzo się speszył. Odparł niechętnie, unikając jej spojrzenia:

– Jamajka ma złą sławę. Opowiadają o niej różne historie, wie pani, jak to jest. Ale nie chcę rozsiewać plotek. Może to wszystko nieprawda.

– Jakie historie? – spytała Mary. – Chodzi o to, że tam się dużo pije? A może wuj pozwala, żeby w oberży zbierało się złe towarzystwo?

Mężczyzna usiłował się wykręcić.

– Nie chcę rozsiewać plotek – powtórzył. – I właściwie o niczym nie wiem. No, gadają ludzie… A porządni goście nie chodzą już do Jamajki. Tyle tylko wiem. Za dawnych czasów poiło się tam i karmiło konie, wpadało się, żeby coś przegryźć i wypić kieliszek. Ale teraz już się tam nie zatrzymujemy. Zacinamy konie i na nikogo się nie oglądamy, dopóki nie dojedziemy do Pięciu Dróg, a i tam nie bawimy długo.

– Dlaczego ludzie nie chodzą do oberży? Z jakiego powodu? – nalegała Mary.

Woźnica milczał chwilę, zdawało się, że szuka właściwych słów.

– Boją się – powiedział wreszcie i potrząsnął głową; jasne było, że nic się z niego więcej nie wydobędzie.

Widocznie jednak poczuł, że był zbyt opryskliwy, i zrobiło mu się żal Mary, bo po chwili zajrzał znów do okna.

– Napije się pani herbaty przed wyjazdem? – spytał. – Czeka panią długa droga, a na torfowiskach jest zimno.

Mary pokręciła głową. Zapomniała o głodzie, a choć rozgrzałaby się chętnie herbatą, nie miała ochoty wysiadać z dyliżansu i wchodzić do gospody Królewskiej: kobieta z pewnością będzie się na nią gapiła, ludzie będą szeptać po kątach. Poza tym jakiś zaczajony w niej tchórzliwy duszek szeptał wciąż natarczywie: „Zostań w Bodmin, zostań w Bodmin", i kto wie, może znalazłszy się w ciepłym i bezpiecznym schronieniu gospody, uległaby jego namowom.

A przecież obiecała matce, że pojedzie do ciotki Patience, nie wolno się teraz cofnąć.

– No to jedźmy – rzekł woźnica. – Jest pani dziś wieczorem jedyną podróżną na całym trakcie. Ma pani tu jeszcze jeden koc, proszę okryć kolana. Jak znajdziemy się już na szczycie wzgórza, będę popędzał konie, bo marna dziś noc do jazdy. Nie zaznam chwili spokoju, dopóki nie znajdę się we własnym łóżku w Launceston. Rzadko który z nas lubi jeździć o tej porze roku przez torfowiska, zwłaszcza przy takiej pogodzie.

Dyliżans zaturkotał po bruku, mijając zaciszne, solidne domy, migotliwe światła, nielicznych przechodniów, którzy chyląc głowy przed wiatrem i deszczem, śpieszyli do domu na kolację. Przez okna zasłonięte okiennicami Mary widziała błyski przyjaznych świec – na kominku z pewnością płonie ogień, stół nakryto białym obrusem, kobieta i dzieci siadają do posiłku, mężczyzna tymczasem grzeje ręce przy wesołym płomieniu. Przypomniała sobie uśmiechniętą wieśniaczkę, z którą tu dziś przyjechała. Zastanawiała się, czy ona też siedzi teraz przy stole w otoczeniu dzieci. Jaka to była

przyjemna kobieta, jakie miała rumiane policzki, jakie swojskie spierzchnięte, spracowane ręce! Ile ufności budził jej niski głos! Mary zaczęła układać sobie bajeczkę: gdyby tak wysiadła za kobietą z dyliżansu, poszła z nią, poprosiła ją o przytułek… Nie spotkałaby się z odmową, była tego pewna. Służyłaby kobiecie, pokochałaby ją, brałaby udział w jej życiu, poznałaby jej rodzinę…

Konie wspinały się na wzgórze za miastem. Przez okno w tyle dyliżansu widać było, jak znikają światła Bodmin, szybko, jedno po drugim, aż wreszcie ostatni błysk mrugnął, zamigotał i zgasł. Mary znalazła się teraz sam na sam z wiatrem i deszczem, a od celu podróży dzieliło ją jeszcze dwanaście posępnych mil przez torfowiska.

Przyszło jej na myśl, że tak się chyba czuje okręt, kiedy opuszcza bezpieczną przystań. Ale żaden statek nie mógł się czuć bardziej zgnębiony, choćby nawet wicher grzmiał w olinowaniu i fale lizały pokład.

W dyliżansie było teraz ciemno, bo Mary uznała, że lepiej zgasić mizerny żółty płomyk kaganka, który w podmuchach wiatru wpadających przez szparę w dachu chybotał się na wszystkie strony, zagrażając skórze obić. Siedziała skulona w kącie, chwiejąc się to w jedną, to w drugą stronę, ilekroć dyliżans podskakiwał na wybojach, i myślała o tym, że nigdy dotąd nie wiedziała, jak złowroga może być samotność. Nawet w skrzypieniu i pojękiwaniu dyliżansu, który przez cały dzień kołysał ją przecież niczym kolebka, brzmiała teraz groźba. Wicher szarpał dach, strugi deszczu, coraz gwałtowniejsze, gdy zabrakło osłony wzgórz, pluły w okna ze zdwojoną zaciekłością. Po obu stronach traktu nagie torfowiska, ciemne, nieprzebyte, bez drzew, bez domostw, rozpościerały się aż do niewidzialnego widnokręgu niby bezkresna pustynia. Człowiek nie może mieszkać na takim jałowym pustkowiu, myślała Mary, i

być jak inni ludzie; nawet dzieci rodzą się tu pewnie wynaturzone niczym sczerniałe krzaki żarnowca, przyginane do ziemi wiatrem, który nigdy nie ustaje, lecz dmie, jak mu się podoba, ze wschodu i z zachodu, z północy i południa. Umysły też mają pewnie spaczone, myśli niedobre, skoro muszą wciąż przebywać wśród moczarów i skał, wśród twardego wrzosu i kruszejących głazów.

Z dziwnego pnia muszą pochodzić ci, co śpią pod tym czarnym niebem, mając pod głową tę nieżyczliwą ziemię. Niezawodnie pozostało w nich dotychczas coś z Szatana. Droga biegnie przez teren ciemny i milczący, nigdzie błysku światła, który choć na chwilę dodałby otuchy podróżnej w dyliżansie, wróżąc pomyślność, budząc nadzieję. A może na przestrzeni całych dwudziestu mil dzielących Bodmin i Launceston nie ma ani jednego zamieszkanego domu, może nie ma nawet chatki pasterza przy tej bezludnej drodze, nie ma nic prócz ponurego budynku – oberży Jamajka.

Mary straciła rachubę czasu i odległości, nie wiedziała, która to mila, dziesiąta czy setna; uwierzyłaby, gdyby jej ktoś powiedział, że jest już po północy. Zaczęła cenić sobie bezpieczeństwo, jakie zapewniał dyliżans: bądź co bądź, znała wnętrze pojazdu, znała je od wczesnego ranka, czyli od bardzo dawna. Wprawdzie niekończąca się jazda stała się udręką, ale były tu jednak chroniące dziewczynę cztery ścianki, zniszczony, przeciekający dach, a na koźle woźnica, którego mogła w każdej chwili zawołać. Wreszcie zdawało się jej, że woźnica ponaglił konie do szybszego jeszcze biegu, usłyszała, jak pokrzykuje na nie, przez okno dobiegły strzępki jego okrzyków niesione podmuchami wichury.

Otworzyła okno i wyjrzała na zewnątrz. Poryw wiatru z deszczem oślepił ją na chwilę, ale otrząsnęła się, odgarnęła włosy z oczu i wówczas ujrzała, że dyliżans w największym pędzie wjeżdża na zbocze wzgórza, a torfowiska po obu stronach traktu majaczą

atramentową czernią przez zasłonę deszczu i mgły.

Przed nią, na szczycie, cofnięta nieco w lewo od drogi, ukazała się jakaś budowla. W ciemnościach majaczyły zarysy wysokich kominów. Ani śladu innego domu czy nawet chatki. Jeżeli to była Jamajka, to wznosiła się dumna i samotna, wystawiona ze wszystkich czterech stron na ataki wichrów. Mary otuliła się szczelniej peleryną i zapięła klamrę pod szyją. Konie zatrzymały się, ściągnięte ręką woźnicy, i stały zlane potem mimo ulewnego deszczu, z boków buchały im obłoki pary.

Woźnica zsunął się z kozła i zdjął z góry jej kufer. Wyraźnie się śpieszył, bo wciąż zerkał przez ramię ku domowi.

– Jest pani na miejscu – rzekł. – Trzeba tylko przejść przez dziedziniec. Jeżeli zakołacze pani do drzwi, wpuszczą panią. Muszę już ruszać, bo nie dojadę przed północą do Launceston.

W mgnieniu oka był z powrotem na koźle i chwycił lejce. Krzyknął na konie, smagając je gorączkowo batem. Dyliżans zaturkotał, zatrząsł się i w jednej chwili znikł w ciemnościach, jak gdyby go nigdy nie było.

Mary została sama, z kuferkiem u stóp. Usłyszała za sobą szczęk rygli odsuwanych w nieoświetlonym domu, potem zgrzyt otwieranych drzwi. Jakaś wielka postać wyszła na dziedziniec, kołysząc latarnią.

– Kto tam? – odezwał się ktoś. – Czego tu chcesz?

Mary zrobiła krok naprzód, usiłując zobaczyć twarz mężczyzny.

Światło latarni świeciło jej wprost w oczy i nie mogła nic dojrzeć. Mężczyzna wciąż kołysał przed nią latarnią, ale w końcu roześmiał się, wziął ją za ramię i popchnął bezceremonialnie na ganek.

– Ach, to ty? – powiedział. – Więc jednak przyjechałaś? Jestem Joss Merlyn, twój wuj, i witam cię w oberży Jamajka.

Roześmiał się znów, wciągnął dziewczynę do domu, zamknął drzwi i postawił latarnię na stole przy korytarzu. Mary ujrzała wreszcie jego twarz.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**. Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- Virtualo
- Publio
- Nexto

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.
Szukajcie ich na portalu Audioteka lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na Facebooku i na Instagramie.